

O pobłogosławieniu kościoła w Nurze, o mniemanej kradzieży na poczcie w Ostrowi, udziale Mazowszan w wojnie burskiej, napadzie w Orle i podróży mieszkańca powiatu węgrowskiego do miczygańskiej krainy

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.

Ilustracja wyróżniająca opracowanie: *Bug w okolicach Broku*.

Pan Zygmunt, mieszkaniec warszawskiego Grochowa informuje na rewersie wysłanej w lipcu 1973 r. pocztówki, że zostali zakwaterowani w bardzo ładnym domku kempingowym i mają trzy łózka, a wyżywienie jest niezłe. Jagód w brokowskich lasach jest w bród, stan wody na Bugu we Włodawie i w Broku jest bardzo wysoki, ale kąpać się można i ogólnie jest super.

Źródło: *Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej*.

Na początek obszerna relacja z pobłogosławienia nowego kościoła w Nurze. Do starożytnej miejscowości zjechały się z tej okazji tłumy z bliższej i dalszej okolicy, a i duchowni także licznie przybyli. W niecodziennych uroczystościach wziął również udział administrator brokowskiej parafii ksiądz Antoni Stawirej. Wielokrotnie już o jego szacownej osobie na tych łamach wspomniano, a teraz dowiadujemy się, iż wielebny był również utalentowanym i znanym tenorem.

Po raz kolejny gości w tym zakątku Internetu ostrowska poczta. Czytelnicy wiedzą już m.in. o niezwyklej innowacji polegającej na otwieraniu tego urzędu podług czasu warszawskiego, a zamykaniu zgodnie z petersburskim. Tym razem gazety donoszą o przypadkach kradzieży na ostrowskiej poczcie, ale możliwe, że to tylko „fake newsy”, bo naczelnik poczty owe rewelacje zdementował.

Nie spodziewałem się, że wojna burska toczona na przełomie XIX i XX w. daleko na południowym krańcu Afryki, spotkała się z tak żywym odzewem na Mazowszu, a doniesienia z pola walki nie schodziły z pierwszych stron gazet. Przy czym ogromna większość Polaków kibicowała posiadającym w większości niderlandzkie korzenie Burom, Anglików zaś – nie bez przyczyny – oskarżano o najstraszliwsze okrucieństwa. Zmagania przeniosły się aż nad Bug, a do jednej z potyczek doszło w Zuzeli: „Wojna afrykańska nawet malców interesuje. Dwa 9-letnie dzieciaki, zamknawszy się w stodole, urządzili na pięści bójkę, wkrótce jeden z walczących wyobrażający Bura wyszedł z podbitym okiem”<sup>1</sup>. Byli też mali rycerze gotowi do znacznie większych poświęceń w imię solidarności z Burami: „Istna epidemia opanowała młodych zapaleńców. Na Pelcowiźnie przytrzymano znowu 14 letniego Wawrzyńca Suchowskiego, który wybierał się do Burów. Jest to syn kucharza z Warszawy. Zabrał ojcu starą strzelbę, torbę myśliwską, oraz trochę bielizny, matce – 6 rb. i szedł na kolej, aby udać się do Transwalu. Ojciec dopędził go na szosie i przytrzymał”<sup>2</sup>. Notkę o kolejnym ideowym młodzieniaszku zamieściłem na stronie szóstej tego opracowania. Na wojnę wybierało się także wielu dorosłych. Konsul angielski w Warszawie oświadczył, że gotowość do wyjazdu zgłaszają liczne osoby, twierdząc, że „doszła ich pogłoska, jakoby rząd angielski przeznaczył wynajętemu żołnierzowi 2,000 rubli rocznie”<sup>3</sup>. Konsul zaznaczył, że jego rząd nie prowadzi naboru najemników. Natomiast konsul holenderski był przez chętnych do udziału w wojnie

<sup>1</sup> „Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 20 z 10 marca 1900 r.

<sup>2</sup> „Słowo” nr 256 z 8 listopada 1900 r.

<sup>3</sup> „Słowo” nr 254 z 5 listopada 1900 r.

wprost oblegany. Ochotnicy owi pragnęli stanąć ramię w ramię z Burami, nie dla guldenów, ale z czystej chęci pomocy. Konsul uznał w końcu za konieczne zamieszczenie w prasie anonsów informujących, iż „Holandja w zatargu tym stoi na gruncie neutralnym, że więc nie może bezpośrednio, ani pośrednio brać udziału w wysyłaniu ochotników na odsiecz Boerom”<sup>4</sup>. Konsul powiadał także, że obecnie na terenie Królestwa Polskiego nie ma obywateli Transwalu, bo pan Martin Tiedde, jedyny, który tu do niedawna bawił prowadząc roboty inżynierskie przy regulacji Bugu, porzucił pracę i popłynął do ojczyzny. W wojnie na południu Afryki wzięło wg różnych źródeł udział od kilku do kilkudziesięciu Polaków. Może ktoś słyszał o mieszkańcu naszych szeroko pojętych okolic, który trafił wówczas na południe Afryki?

Niespokojnie było także w naszej okolicy. Gazety donosiły o strzelaninie w Orle, miejscowości odległej o ledwie kilka kilometrów od Broku.

Czytelnicy tej strony internetowej mieli dzięki lekturze opowieści *Historia Teofila* możliwość zapoznania się z transoceanicznymi peregrynacjami bohaterskiego mieszkańca Grabownicy, w opracowaniu zaś *Rok 1921. List z Ameryki spisany ręką pochodzącego z parafii Sadowne Stefana Wycecha*, z relacją z podróży mieszkańca lewego brzegu Bugu. W dzisiejszym opracowaniu inny rezydent tamtego brzegu opowiada o swym wojażu do miczygańskiej krainy i o rozczarowaniu amerykańskim snem, tyle że przeżytym na jawie.

Na końcu opracowania zamieściłem wykonaną jesienią 1944 r. fotografię, której towarzyszy obszerna informacja o nowo otwartej szkole podstawowej we wsi Biel. Nie jestem jednak pewien, czy chodzi o Biel położoną niedaleko od Broku, czy może o inną, ale skoro fotografia pochodzi z gazety wydawanej w Białymstoku, to także niezbyt odległą.

Po opublikowaniu listu pana Stanisława Z., który opisywał brokowskie lasy nie tylko w samych superlatywach, posypały się kolejne krytyczne uwagi dotyczące niedoskonałości zauważonych w miasteczku. Pani Krystyna J., dama sympatyzująca z Brokiem, a przy tym światowa, chciałaby widzieć Brok, jako kosmopolityczny kurort na miarę jakiegoś Saint-Tropez. Nie poprzestaje jednak na „chciejstwie” i czyni w tym kierunku liczne, przemyślane kroki. Tego lata przybyła do Broku ze swą przyjaciółką, francuską aktorką, niejaką Catherine D. Madame Catherine po długiej podróży poczuła, że zacytuje *la faim*, więc ruszyły na przechadzkę po brokowskich bistrach z nadzieją na konsumpcję czegoś smacznego i niewyszukanego zarazem. Proszę sobie wyobrazić, że w żadnej z licznych sezonowych knajpek, nie znalazły choćby jednej, w której byłyby serwowane sandwicze ze ślimakami.

Przyznaję, że jest mi trochę wstyd za brokowskich restauratorów i wątpię, aby przy tak skandalicznych brakach w menu, miasteczko mogło kiedykolwiek pójść w zawody ze wzmiankowanym Saint-Tropez. Pani Krystyno, nawiązałem odpowiednie kontakty i wygląda na to, że w kolejnym sezonie będzie można rozkoszować się w Broku nie tylko kanapkami ze ślimakami, ale i chrupiącymi bagietkami z żabimi udkami.

---

<sup>4</sup> „Kurjer Warszawski” nr 315 z 14 listopada 1899 r.

### *Korespondencja Przeglądu Katolickiego*

Parafja Nur nad Bugiem, w dekanacie Ostrowskim, po spaleniu się kościoła, długo na nowy zdobyć się nie mogła. Nie wiem, czy skutkiem obfitości chleba, która często do zapomnienia o najważniejszych powinnościach prowadzi, jak samo Pismo św. zaświadcza (Ezech. 160, 49), boć były czasy lepsze nim złe nastąpiły, czy zbiegiem innych jakich okoliczności, dosyć, że Chrystus mieszkał w szopie może od betlejemskiej nie lepszej. Nowy proboszcz ks. Kącki, gdy przed sześciu laty tu przybył i do szopy tej zajrzał, postanowił niezwłocznie i energicznie wziąć się do budowy nowego przybytku dla Pana, którego ze łzami w oczach w szopie powitał. Jako niedaleki sąsiad, znam dostatecznie cały stan rzeczy i ich obrót. Zapasów żadnych ani na gruncie nie zastał, ani z sobą nie przywiózł, więc jak to mówią z torbą i kijem wziął się do dzieła i o takiej mocy dzieło dalej prowadził; gdyż rzeczywiście, oprócz dziesiątej części z Rządu i zapomogi kilku parafjan, co złożyli w ofierze po parę tysięcy złotych, resztę wyżebrał z wielkim trudem. Sam jeździł za ofiarą, często nocy nie dosypiając, zbierał nawet cegielki i kamyki do kieszeni po drodze, znosząc je na miejsce, oprócz tego założył na własną rękę cegielnię i sprowadzał drzewo ofiarne, przez stosunki z dziedzicami lasów prywatnych. Tępo szło jednak wszystko, bo zamiar jakkolwiek święty, dzieło wzniosłe, a potrzeba jego była nieodzowna, miał jednak nieprzychylnych, działających wprost, dla postawienia li tylko na swoim, iżby dzieło do skutku przyjść nie mogło.

Trzeba było niejednego przełamać opór, bo powoływano się na czasy krytyczne, jakby Chrystus, o którego szło chwałę, nie był władcą czasów! Na co ks. Kącki krótko odpowiadał: „Już ująłem za pług, a podług Ewangelji, kto ogląda się wstecz, nie jest zdatnym do królestwa bożego (Łuk. 9 v. 62)”. Otóż, tylko zacząć, a pójdzie się dalej. Mimo tylu przeszkód zamiar przyszedł do pożądanego skutku, dom boży nareszcie stanął. Wprawdzie nic w nim nie widziałem nad obielone ściany, wielki ołtarz, ambonę i lichy organ przeniesiony ze starej szopy, lecz i to już wiele na teraz, przynajmniej znać, że to kościół nie stajnia: jest bowiem masywny, z dużą wieżą, nawet zegarem wieżowym, sprawionym przez jednego z obywateli, zbudowany w prostokąt, obszernych rozmiarów, dla parafji całkiem dogodny; a lubo ze starej szopy nic użyć się nie da, łatwiej już reszta pójdzie, gdyż ks. Kącki dał już rękojmię nieustannej czynności w dotychczasowem energiczem działaniu.

Dzień 24 lipca r. b. był dniem benedykcji, konsekracja do dalszego czasu odłożoną być musiała. Zjechało się nas przeszło dwudziestu z różnych djecezji i wszyscy byliśmy zajęci, mieliśmy bowiem co najmniej ośmiotysięczną rzeszę, spowiedzi wydołać nie mogliśmy, bo lud oprócz swej masy, rzadkością uroczystości wzruszony, cisnął się tłumem do trybunału pokuty; umarli nawet powstawali, bo przychodzili penitenci, co kilka lat nie byli u spowiedzi. O godzinie dopiero jedenastej rozpoczęliśmy ceremonję, której dopełniał z powagą i namaszczeniem kapłańskim upoważniony od władzy djecezjalnej, ks. Józef Pawłowski, kanonik i dziekan pułtuski, regens konsystorza pułtuskiego. Śpiew niektórych rytualnych psalmów, lubo przeciągnął ceremonję, ale za to obudzał i w nas kapłanach święte uczucia, mieliśmy bowiem na czele znanego ze śpiewu w naszym dekanacie ks. Antoniego Stawireja, administratora parafji Brok, a przed ośmiu latu wikariusza kollegiaty pułtuskiej, zarazem profesora śpiewu w b. seminarjum pułtuskim. Wzniosłość i rzadkość całego tego obrzędu wytoczyła niejednemu rzewną łzę z oka, zwłaszcza, gdy po skończonej benedykcji uroczystie przenosiliśmy

Sanctissimum ze starej szopy; przypomniało się nam, jak święta rodzina z betlejemskiej stajenki uchodziła z dzieciąciem, aby Mu dać wygodniejszą gospodę. Potem zaśpiewał sumnę drżącym, ale donośnym i poważnym głosem, sędziwy, bo 88-letni kapłan jubilat po odbytych już sekundycjach<sup>5</sup>, ks. Wincenty Krasuski, proboszcz parafji Zambrów z djecezji Lubelskiej. Coś świętego malowało się w całej jego postawie, jakkolwiek w charakterze wszyscy byliśmy mu podobni, budziło się jednak w nas uszanowanie dla sędziwości srebrnym pobielonej włosem. Życzeniem było miejscowego proboszcza, aby ten między nami ojciec patryarcha, wziął także udział w rzadkiej uroczystości, przyjmując na siebie celebrę. Zrobił on prawdziwą z siebie ofiarę, bo oprócz ciżby w kościele, uciążliwości wieku, nadzwyczajny był tego dnia upał, a summa rozpoczęła się o samem południu.

Jak zwykle po *Credo*, kazanie wygłosił ks. Jakub Gromadzki, proboszcz parafji Kuczyn z djecezji Augustowskiej. Rzadkość uroczystości i rozgłos jego w okolicy z kaznodziejskiej wymowy, zatrzymały nas wszystkich w kościele i nie zostaliśmy omyleni, kazanie wypowiedzianem było stosownie do rzadkiej uroczystości; szczególnie inwokacja w konkluzji kazania była czułą i do łez pobudzającą, słabość tylko widać piersiowa nie pozwalała mu oddać wyrazów donośniejszym głosem, czem też bardziej jeszcze natężył naszą uwagę. Lecz to jedno kazanie na tyle ludu w każdym razie nie byłoby wystarczające; to też na cmentarzu jeszcze jedno wypowiedział ks. Stanisław Dziobkowski, proboszcz parafji Ceranowo z djecezji Lubelskiej; drugie ks. Antoni Dąbrowski, wikariusz z Rosochatego djecezji Płockiej; widać obydwaj mówili czule; gdyż z oblicza ludu czytać można było świeże wzruszenie, i wszyscy budowaliśmy się z siebie nawzajem, bo wszyscy mieliśmy sposobność doświadczyć, jak podobne uroczystości odmieniają i najzakamienialsze serca ludzkie.

Sypnęły się też nowe ofiary i jest nadzieja, że przybędą większe, tak, iż niedługo będziemy się mogli dowiedzieć o ozdobie tegoż kościoła odpowiednim sprzętem, tem bardziej, że w usilności po temu przychodzą w pomoc księdzu proboszczowi osoby, które już złożyły dowody swej gorliwości w moralnym i materialnym popieraniu budowy kościoła. Żebyśmy sądzili utrzymując bezwyjątkowo, że osoby wyższego stanu żyją w obojętności dla religji i kościoła i odsyłają pobożność do gminu. Może to być w pewnej części, bo i ktoś powiedział: „mało nauki odwodzi ob. Boga, wiele nauki do Niego przywodzi”. Z tej też zasady wychodząc znajdziemy i wyjątki. Kto zna zasady religji niepobieżnie lecz gruntownie, kto nie rządzi się uprzedzeniem i nierozsądnym uporem, a nade wszystko, kto namiętności nie chce być niewolnikiem, a dobro religji pojmuje, ten wydaje sąd sprawiedliwy, tak, iż jakiegokolwiek następczyby się okoliczności i warunki, religja i kościół zawsze mają dlań swoją wagę, znaczenie i doniosłość. Czasy jeśli są ciężkie, to sądzę, że ich jarzmo każdemu daje się odczuć. Lecz gruntowna znajomość religji i jej zasad, wyrabia to przekonanie, że na ciężkie czasy najlepszym jest lekarstwem być według możliwości dbałym o chwałę Boga, który w swej potężnej dłoni trzyma wieki i momenta. Oby przykład obecny znalazł wielu naśladowców, jest tego zapewne w wielu parafjach potrzeba. Wam zaś którzyście nie szczędzili fatygi i kosztów dla wzniesienia tego przybytku Pana, On sam niech nagradza, darząc was swoim błogosławieństwem w tem życiu i razem przysposabiając na dziedziców godnych kiedyś towarzystwa mieszkańców w świątyni Niebios.

*Ks. M. M.*

---

<sup>5</sup> Sekundycje – jubileusz 50-lecia kapłaństwa, połączony z uroczystą mszą (secunditae) [przyp. aut. oprac.].



Zniszczony we wrześniu 1939 r. most na Bugu w Broku. Pewien kochający mąż wysłał w listopadzie 1942 r. kartkę z tak sentymentalnym widokiem swej małżonce Sybille Herzberg z Solingen.  
 Źródło: *Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.*



Niemieccy saperzy odbudowują zniszczony we wrześniu 1939 r. most na Bugu w Broku.  
 Źródło: *Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.*

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 61 z 24 października 1898 r.]

## Z NASZYCH OKOLIC

**Ostrów** (g. łomżyńska). W tutejszym kantorze pocztowym wykryto nadużycie, popełnione przez aplikanta P., zasadzające się na tem, że otwierał listy i wyjmował z nich marki pocztowe. Przy rewizji znaleziono przy nim kilkadziesiąt listów, adresowanych przeważnie do żołnierzy stojących w pobliskim Komorowie. Listy były już otwarte i znaleziono przy P. za kilka rubli marek pocztowych, oraz parę rubli gotówką.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 63 z 29 października 1898 r.]

**Ostrów**. Naczelnik pocztowo-telegraficznego oddziału w Ostrowiu, zaprzecza w „War. Dniew.”<sup>6</sup> wiadomości podanej przez „Kurjer Poranny”, a przez nasze pismo powtórzonej, co do nadużyć popełnionych jakoby przez aplikanta P. Naczelnik stwierdza, że żadne tego rodzaju nadużycia nie miały miejsca.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 11 z 7 lutego 1900 r.]

Ajenci angielscy, jak pisze „Kurjer Poranny” grasują po Łomży i okolicy werbując ludzi do wojska przeciwko Boerem. Przed kilku dniami wyjechało podobno z przedmieścia łomżyńskiego trzech włościan, znęconych przez agentów wysoką płacą: 2 rb. 50 kop. na dzień.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 35 z 2 maja 1900 r.]

Na wojnę do Burów wybrał się 21-letni Jakub Gajewski z Wykowa. Chłopiec uległ podobno w Warszawie namowom jakiegoś ajenta, który wywiózł kilku młodych ludzi, zachęciwszy ich obietnicą 5-rublowej płacy dziennej, jaką otrzymywać będą na polu walki. Dowiedziałem się również, że wybierał się do Afryki, jako ochotnik, 18-letni syn pewnego zamożnego gospodarza z pow. płońskiego, zaopatrzwszy się na drogę w 250 rb. skradzionych ojcu. Gospodarz zauważył jednak w porę brak pieniędzy i dopędziwszy syna na Pelcowiznie, pieniądze odebrał i synowi kazał wracać do domu.

*Koląbryna.*

---

<sup>6</sup> Rosyjskojęzyczna gazeta urzędowa „Warszawskij Dniewnik”



Most w Małkini podczas okupacyjnej zimy.  
Źródło: Muzeum Kresów i Ziemi Ostrowskiej w Ostrowi Mazowieckiej.

[„Słowo” nr 311 z 13 lipca 1910 r.]

## WYPADKI

Napad. Na rozjeździe Orło kolei nadwiślańskiej [nadnarwiańskiej], na koszary, gdzie mieszka majster drogowy, dokonano napadu zbrojnego. Wystrzały z dubeltówek powybiły szyby w oknach, lecz nieszczęścia z ludźmi nie było. Podejrzani o napad włościanie ze wsi Niegujewek [Niegowiec], pow. ostrowskiego, Stefan Zawisza i Julian Maleński [Maleńki] aresztowani.

[„Gazeta Świąteczna” nr 17 (1734) z 26 kwietnia 1914 r.]

## Z WĘDRÓWKI PO ŚWIECIE

Od wielu lat bają u nas ludzie o jakichś bogactwach w Ameryce i opowiadają, że ten lub ów wyjechał za morze i dobrze mu się powodzi. Jak jest naprawdę w Ameryce, o tem w krótkości napiszę, bo i ja amerykańskiego szczęścia zakosztowałem.

Wyjechałem z domu dnia 5-go lutego roku ubiegłego. Z okolicy Węgrowa udałem się na Płock, bo nie miałem paszportu, a upewniono mię, że w Płocku najłatwiej znajdę opiekuna-przewodnika. I tak rzeczywiście było; zaraz po przyjeździe znalazłem owego opiekuna, rozumie się, jakiegoś Żyda. Zaraz zawarliśmy umowę, dałem zadatek i w drogę! A było nas takich sześciu. Jechaliśmy wielkim wozem; na drodze bitej mało cośmy z siebie duszy nie wytręśli, drogą zaś boczną musieliśmy iść piechotą, bo konie z trudem wyciągały pusty wóz z kałuż błota i wody przy wiosennych roztopach; tymczasem nasz opiekun jechał sobie powozem w parę dzielnych koni. Po dwudziestu czterech godzinach takiej podróży dojechaliśmy do granicy w Zieluniu. Przez granicę przepuszczono nas bez trudności bośmy mieli półpaski<sup>7</sup>. Na pruskiej stronie w pierwszej gospodzie zapłaciliśmy naszemu opiekunowi po sto pięćdziesiąt rubli za dostawienie nas do miasta Detroitu w Ameryce. Mieliśmy płynąć porządnym okrętem angielskim osobowym. Tymczasem czekał na nas wóz, który dowiózł nas do kolei w Liczbarku. Pociągiem dojechaliśmy do miasteczka Iłowa, gdzie jest biuro towarzystw okrętowych. Otrzymawszy szykartę czyli bilet okrętowy, przekonałem się, że zostałem oszukany i pokrzywdzony, bo bilet nie kosztował 150 rubli, tylko sto pięć, i nie służył na przejazd okrętem angielskim, tylko niemieckim. Chcąc nie chcąc musiałem się z losem pogodzić, gdym skórę swą już sprzedał.

Z Iłowa pojechaliśmy koleją do niemieckiego miasta Hamburga nad morzem. Jechałem przez tę część Polski, która jest pod panowaniem prusko-niemieckim, – przez Toruń, Poznań i wiele innych miast, których nazwy nie znam, a potem przez Berlin na zachód ku morzu. W Hamburgu

---

<sup>7</sup> Mieszkańcy terenów graniczących z Prusami mogli cieszyć się tak zwanymi półpaskami, czyli przepustkami uprawniającymi do przekraczania granicy. Półpasek był niejako zamiennikiem paszportu – stąd zapewne jego nazwa. Popularność tych dokumentów była ogromna. Liczba wydawanych przepustek wielokrotnie przekraczała ilość osób uprawnionych do ich otrzymania [przyp. aut. oprac.].



trzeba było czekać na okręt dziesięć dni, gdyż było tylu wychodźców, że okręty nie mogły z wywożeniem ich nadążyć. Oczekiwało swej kolejki ze trzy tysiące ludzi przeważnie z Królestwa Polskiego i Galicji, a była to po większej części młodzież, chłopcy i dziewczęta, których rodzice wysłali niby na zarobek, a naprawdę na zgubę, bo ta młodzież już w podróży zaprawiała się do złego. Pomimo postu odbywały się wciąż tańce i hulanki, i gdyby nie dozór zwierzchności, której wychodźcy muszą podlegać, to wszystkie dziewczyny polskie byłyby się zmarnowały. Na szczęście przy domach poczekalnych w Hamburgu jest kościółek: tu przyjeżdżał ksiądz, odprawiał mszę św. na intencję wszystkich mających wkrótce odjechać okrętem, spowiadał nas całymi dniami i nocami i upominał gorącymi słowami, żebyśmy zachowywali się na obczyźnie jak przystało na dobrych Polaków i katolików.

Nadszedł dzień odjazdu. Wszyscy wychodźcy zgromadzeni w przystani oczekiwali hasła do wsiadania na okręt. Jedni się śmieli, drudzy płakali, żegnając część świata, w której się urodzili i wychowali. Wtem świst gwizdka okrętowego zagłuszył naraz wszystek hałas. Wchodzimy na okręt, Służba okrętowa wskazuje każdemu miejsce i wręcza miski, łyżki, wiadra. Spotyka nas na wstępie zawód, bo widzimy, że zamiast na wielki okręt, wsadzają nas na mały statek parowy do przewozu towarów; zamiast małych izdebek z drewnianymi łózkami, były w nim wielkie izby z żelaznymi łózkami, o czarnych ścianach i brudnej podłodze. Jadalni wcale nie było; każdy musiał sam chodzić do kuchni po obiad. Wyruszyliśmy w podróż dnia 23-go lutego. Kilka godzin płynęliśmy rzeką Elbą przypatrując się miastu, warsztatom okrętowym, których tu jest mnóstwo, i mieszkańcom Hamburga, którzy zgromadziwszy się nad wodą, powiewali chusteczkami. Pierwszą noc przespaliliśmy smaczno, a nazajutrz nie widzieliśmy już nic prócz nieba i wody. W trzecim dniu podróży znaleźliśmy się na wodach olbrzymiego oceanu Atlantyckiego. Z początku często spotykaliśmy tam jeszcze statki i łodzie rybackie, które fale morskie miały jak wiórami. Biedne to doprawdy życie tych ludzi, bo nieustannie walczyć muszą z bałwanami morskimi. Po jakimś czasie zaczęła nas tropić choroba morska, czyli silne wymioty, a to z powodu gwałtownego kołysania okrętu z boku na bok, to znowu w przód i w tył, aż dreszcze człowieka przechodziły, a nadzieja dopłynięcia do brzegu w każdym do cna zamarała. Powywracały się wszystkie ławki i stoły, a talerze i kubki wszystkie się potłukły. Takiej przykrej jazdy było przeszło czternaście dni. Oprócz wymiotów przeszkadzał nam straszny zaduch z nieczystości i tłuszczów, bo wszędzie było pełno smoły, oliwy i innych smarów, co się wielce przyczyniało do słabości. Pożywienie dawali nam o wiele gorsze, niż dobry gospodarz w Polsce świniom daje, a w jakim porządku i ładzie odbywało się wydawanie obiadów, to aż wspomnieć nie miło. Ale oto niektóre przynajmniej przygody przy odbieraniu obiadów. Jednego razu otrzymawszy obiad w kuchni wykręcam się do drzwi, aby iść do swej izby, wtem okręt gwałtownie się przechyla. Zatoczyłem się i cały obiad wylałem na głowy służby okrętowej. Innym razem idziemy w kilku, każdy ze swym obiadem; weszliśmy na schody prowadzące do naszej izby. W tej chwili okręt chybnął się tak mocno, że jeden z mych towarzyszy przewrócił się i wylał swój obiad na mnie, nalewając mi pełne cholewy, bo miałem na nogach nowe buty z wysokimi cholewami. On obiadu nie jadł, a ja miałem dwa. Jadło dawano nam jak najlichsze, a lepsze sprzedawano i to dosyć drogo, bo za funt mięsa płaciliśmy po pół rubla, i za funt chleba razowego też pół funta. Przed samem przybyciem do Ameryki obdarzyli nas Niemcy podarkami; dziewczynom i kobietom rozdawali cukierki, a nam dano po paczce machorki i fajkę. Ja zaraz wrzuciłem fajkę do morza, a machorkę darowałem jednemu z jej miłośników.

Dziewiętnastego dnia tej podróży dojechaliśmy do przystani w Filadelfji w krajnie Pensylwanji, a nazajutrz wysiedliśmy na ziemię amerykańską. Na pierwszy rzut oka ziemia ta

piękna nam się wydała, miasta zaś przeciwnie – jakieś wstrętne. Co do mnie, miałem się dostać do miasta Detroitu w krajnie Miczygańskiej. Wsiadłem do pociągu, który pomknął z niezwykłą szybkością. W Ameryce wszystkie pociągi jeżdżą szybko. Po dwudziestu czterech godzinach wysiadłem w Detroitcie. Tam był cel mej podróży. Od pierwszej chwili zrozumiałem, że życie amerykańskie jest nie dla mnie i że nie będę mógł go znosić. Jakem tylko znalazł pracę, zacząłem ciuć pieniądze, aby jak najprędzej zaoszczędzić tyle, ile potrzeba było na drogę powrotną do kraju. Ameryka to kraj pełen zbrodni i rozpusty; pełno tu jest pijaństwa, wielożeństwa, cudzołóstwa, pełno też złodziejstwa, i to najczęściej pomiędzy naszymi. W chwilach wolnych od pracy pilnie się zajmowałem czytaniem rozmaitych gazet polskich wydawanych w Ameryce; z tego poznałem życie tamtejsze, zwłaszcza wychodźców Polaków, i zdaje mi się, że duchowo przekształcili się tam oni i wykoślawili zupełnie: wiary, miłości Boga i bliźniego, oraz przywiązania do ojczyzny i swoich nie ma w nich wcale, a z cnoty wyzuli się do szczytu. Młodzież uczy się języka angielskiego, a gdy może się nim jako tako rozmówić, to już naszej, polskiej mowy nie używa, i ginie bezpowrotnie dla kraju i narodu polskiego. Są tam teatry polskie i dobrze im się powodzi, ale nic dobrego, ani pouczającego w nich się nie słyszy, tylko zgorszenie podniecające do rozpusty i grzechu.

Po kilku tygodniach zatęskniłem za Gazetą Świąteczną i postanowiłem napisać po nią do Warszawy, a w miesiąc potem już ją miałem i nie mogłem się nacieszyć, że czytam nowiny i wieści ze wsi i miast w kraju, a tęsknota wzmagala się we mnie coraz bardziej, bo nie ma tam powietrza do oddychania takiego, jak w Polsce, i śpiewu ptaków nie słyhać wcale, a przyroda cała bardzo ponura. Do kościoła w Ameryce wchodzi się za opłatą, spowiedź w wielu miejscach też płatna, a gdy przyjedzie czasami biskup, to nauki prawi po angielsku.

Spędziwszy przy pracy całe lato, obliczyłem, czy starczy mi pieniędzy na podróż. Rachunek wypadł pomyślnie. Więc kupiłem bilet okrętowy i kolejowy aż do granicy rosyjskiej, ale tym razem wybrałem już podług swego upodobania okręt belgijski, na drogę z Nowego Jorku do Antwerpii. Okręt ten zabierał 360 tysięcy cetnarów (36 milionów funtów) ciężaru. Długość jego wynosiła 225 łokci, a szerokość 50 łokci; w środku był dobrze i czysto urządzony, a izdebki miał małe, tylko na cztery osoby każda. Maszyny były mocne, bieg maszyny szybki, płynął z Nowego Jorku do Antwerpii osiem dni. Żywność mieliśmy doskonałą.

Gdym się znalazł nareszcie w Europie, wsiadłem do pociągu kolei żelaznej i przez piękne kraje dążyłem w stronę Polski. Każdy obrót kół, każde szarpnięcie parowozu przybliżało mnie do rodzinnego gniazda. Jechałem przez Belgię, Holandję, potem przybyłem do Berlina, stolicy Niemiec, a stamtąd przez Poznań i Toruń, Aleksandrów, Warszawę podążyłem do mojej wioski rodzinnej, do moich najbliższych. Im bardziej się zbliżałem, tem weselej mi było. I oto nareszcie ujrzałem wieżę swego kościoła, a w chwilę potem swą zagrodę.

Jestem między swymi przecie  
i już słyszę znany dzwon;  
już nie rzucę za nic w świecie,  
tych rodzinnych, drogich stron,  
i na starej ojca grzędzie  
chleb mi czarny miodem będzie.

*Adam P. z pod Węgrowa.*

**SZKOŁA**



**We wsi Biel**

**P**odobnie jak i na całej ziemi polskiej, we wsi Biel Niemcy uczynili wszystko, by pozbawić dzieci polskie możności nauki. Zrujnowali oni doszczętnie szkołę, zniszczyli podręczniki i pomoce naukowe. Po ucieczce hitlerowców w szkole nie pozostało ani jednej całej ławki, ani jednej tablicy.

Wiele musiała popracować miejscowa nauczycielka Stanisława Kochańska, by dziatwa wiejska miała znowu możność nauki. Obeszła ona wszystkie pobliskie wsie i zebrała u swoich dawnych uczniów ocalałe podręczniki szkolne; zakupiła zeszyty i ołówki, obsadki i pióra.

Mieszkańcy wsi ocenili wysiłki nauczycielki i przyszli jej z pomocą. Włościanin Ignacy Wilk opróżnił dla szkoły swój własny dom. Rodzice uczniów sami sporządzili ławki, odnowili i wybielili klasy.

Szkoła jest znowu czynna. Każdego ranka wesola i rozbawiona dziatwa idzie hałaśliwą gromadką do szkoły. Dzieci nie rozglądają się już więcej trwożliwie, nie boją się bawić i śmiać. Czerwona Armia na zawsze wygnała zbójów — Niemców z ziemi polskiej.

Dzięki zaprzyjaźnionej Czerwonej Armii dziatwa polska otrzymała obecnie możność nauki w swym rodzinnym języku, możność kształcenia się na przyszłych obywateli swojego państwa. Z tego prawa do nauki korzysta też ona doskonale. Na lekcjach dzieci słuchają uważnie każdego słowa nauczycielki. Spójrzcie, jak pilnie słuchają uwag nauczycielki Rządźki Ryszard i Anna Daniłowicz, jak starannie wykonują jej wskazówki.

Minie kilka lat—Ryszard Rządźki, Helena Bartel i wszystkie dzieci polskie, które siedzą teraz na ławie szkolnej, będą dorosłymi obywatelami swego państwa i zawsze będą oni z wdzięcznością mówić o terazniejszym rządzie, który w ciężkim czasie wojennym zapewnił im możność spokojnej nauki.

Bronisław MIESZKUC  
Zdjęła M. KIREJEWA

Otwarta na nowo tuż po przepędzeniu Niemców szkoła w Bieli.  
Nie jestem jednak pewien czy chodzi o Biel w powiecie ostrowskim<sup>8</sup>.

<sup>8</sup> „Wolna Polska” nr 40 z 26 listopada 1940 r.